№ 37.

WARSZAWA DNIA $\frac{14}{26}$ WRZEŚNIA R. 1867



NOWOSCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

KOCHANKOWIE Z TERUELU.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

PRZEZ

Juana Eugeniusza Hartzenbuscha.

PRZEŁOŻYŁ Z HISZPAŃSKIEGO

K. E.

(Dalszy ciąg).

MARGARITA. Nie jest nią—ani nią będzie. Przykro mi Don Rodrigu, że ci powiedzieć muszę. Jeżeli odważysz się na krok zuchwały, usłyszysz u podnóża ołtarza, wykrzyk: „Nie“ który cię zbezcześci.

RODRYG. Próżno liczysz pani, na skuteczność przełożeń swoich. Usta, które jedynie tylko przez panią podburzone, odważyłyby się wymówić to: „Nie“ są dla mnie świętemi. Izabella jest bożyszczem mojem. Wszystko, a nawet pogarda, są u niéj godne poszanowania. Lecz jest ktoś, kto chce mi wydrzeć to bóstwo z méj świątyni.

MARGARITA. Don Rodrygu!

RODRYG. Odmowa pani, poburzyła mi krew. Lecz nie zastałaś mnie nieprzygotowanego. Nienawidzony przez nią postarałem się w Monzon o pisma polecające do Pani, które sądzę że nie chcesz spuścić z uwagi.

MARGARITA. W Monzon? jakto wytłomacz pan!

RODRYG. Wiadomo pani że kawalerowie zakonu Templarjuszów mieli obowiązek strzeżenia króla w téj twierdzy. Więc pewien templarjusz...

MARGARITA. Templarjusz?

RODRYG. Zaprzyjaźnił się ze mną od czasu przybycia mego do zamku. Wyspowiadałem się przednim z miłości méj niefortunnéj, a on.

MARGARITA. A on...

RODRYG. On mi się zwierzył ze swojéj. Odkrył przedemną iż powołała go skrucha do zakonu— pragnienie odpokutowania 'za zbrodnią, któréj źródłem była miłość. Z różnych wyrażeń jego, które pochwytałem, mogłem wywnioskować że uwiódł.

MARGARITA. Kogo?

RODRYG. Osobę z tego miasta.

MARGARITA (na stronie). Drżę.

RODRYG. Przyjaciela mego charakter był ponury, milczący, melancholijny. Poznałem że pożerały go smutki, robak zgryzoty. One to niewątpliwie przymusiły go, przywdziać tę szatę niezwyczajną i niebezpieczną. Zajmowaliśmy jedną celę. Wstawał wielokrotnie o północy, przerażony. Przechadzał się po izbie walcząc z myślami —błagał, jęczał, rozmawiał. Wstawałem by pocieszać go, rozrywać i widziałem oczy jego przywarte, twarz milczącą — on spał. Odzyskując zmysły po gorączce tak okropnéj, ucinał mowę słowy niepowiązanemi, obudzającemi litość i zgrozę. Nie ufając pokucie swojéj oskarżał się o związki z osobą zamężną.

MARGARITA. Ach!

RODRYG. Widział piekło roztwarte, pochłaniające go. Usiłował rozgrzeszyć się, wymieniał współwinną.

MARGARITA. Kogoż wymieniał?

RODRYG. Nazwisko, którego nigdy nie mogłem dosłyszeć.

MARGARITA. Ach!

RODRYG. Nakoniec wyjechaliśmy obadwaj z ważną wyprawą. Stronnicy hrabiego don Sonoza, wyszli zwycięzko, ale biedny Roger de Lizana.

MARGARITA. To on!

RODRYG. Poległ. Czyś pani wiedziała o tem?

MARGARITA. Tak — wiedziałam (na stronie). Oddycham.

RODRYG. I nie zabolał cię zgon jego, zgon najszczytniejszy!

MARGARITA. Przez litość, kończ pan!

RODRYG. Zdejmując zbroję z niego, aby pogrzebać go, znalazłem na sercu jego, listy.

MARGARITA. Listy?

RODRYG. Wachałem się czy je pogrzebać wraz z trupem... i zachowałem je! Potem odczytałem je— chciałem zniszczyć je — i zaniechałem tego. Teraz przedstawiam je pani (rozwija jeden pargamin).

MARGARITA. Miłosierdzia!

RODRYG. Czytaj! Margarita przemawia tam! Margarita tam! Margarita we wszystkich.

MARGARITA. To moje! jam jest—jam wspólniczką. Och! oddaj mi je. Zniszcz! potargaj je!

RODRYG. Zachowałem je dla pani. Doręczę je pani w chwili, w której mi oddasz rękę Izabelli.

MARGARITA. Sprzedajesz mi je za cenę nieszczęścia méj córki!

RODRYG. Szczęście lub nieszczęście ze mną, dość że córka pani, mniéj obłudna, będzie więcéj czczoną niżeli ty. — A ja, jeżeli żyje przeciwnik mój, będę czujniejszy niżeli Don Pedro. Jeżeli Izabella mnie nie kocha, obejdę się bez jéj miłości, a ta szpada odpowie mi za jéj prowadzenie się. Albo użyje całego wpływu swego aby ją uczynić moją, albo zdecyduj się do ujrzenia pism tych w ręku męża swego. Namyśl się i wybieraj. (wychodzi).

MARGARITA. Miłosierny Boże!..

Koniec aktu drugiego.

AKT III.

Sala.

Scena 1.

Maria-Gomez potem Zulima.

MARJA GOMEZ (oparta o balkon mówi na ulicę). Bądź pozdrowiony przychodniu!.. Jakto? Pytasz czyli pozwolę wam odpocząć chwilkę? i dwie i cztery i tysiąc gdy chcecie. Jakżeś nieświadomy, gdy prosisz o gościnność. Galwanie! Héj, potrzymaj za strzemię. Piękny rycerzu, powierz naszemu germkowi broń twoją. Zsiądź, (oddalając się z balkonu) Olalio!.. Cudzoziemiec śliczny jak cherubin. (wchodzi izdebna). Szybko przekąski i wino! (do służącéj odchodzącéj) Owoce, chleb i wodę. Nie widziałam w życiu mem szlachetniejszéj twarzy młodzieńczéj. Nawet ja sama nie byłam tak powabną ówczas kiedy będąc młodziuchną opuszczałam klasztor, (wchodzi Zulima w stroju rycerza aragońskiego, okryta kurzem i wzruszona). Zbliż się tu — spoczniéj—twarz oblana karminem, jak gdyby zaduszonego. Zamykam okno bo rwą przeciągi (zamyka drzwi balkonu — odchodzą odedrzwi.— Spuszcza zasłonę nad drzwi oknami). Gdybyście zasłabli byłoby to bolesnem dla mnie.

ZULIMA (na stronie). Wstąpiłam w jej progi.

MARJA. Przybywacie właśnie, gdy państwo moi nie obecni.

ZULIMA (na stronie podnosząc się) Przekleństwo!

MARJA. Została tylko moja młoda panna.

ZULIMA (n. s.) Jestem szczęśliwa!

MARJA. Lecz mamy rozkaz przyjmowania każdego przychodnia. (Wchodzi służba niosąc talerze, puchary, waze z cyny i t. d. te stawiają na stole przyległym do krsesła na którem spoczywa Zulima). Więc przyjmij ten skromny posiłek. Kawałek wędliny i kropla napoju (Zulima chwyta namiętnie za puchar i pije). Aj! to jest woda! Nie pij! na świętego Augustyna! Co uczyniłeś nieszczęsny! woda, a tak spocony... Chcesz się tem zabić.

ZULIMA. Paliło mnie pragnienie.

MARJA. Ucz się żyć. Ojciec wikary, słyszałam jak nieraz powtarzał święte słowa, że to grzech, przenosić wodę nad wino. Przejedz cokolwiek.

ZULIMA. Nie dla jadła przybywam tutaj (chodzi niespokojnie).

MARJA. Spocznij przynajmniéj. Co za niespokojność? Co za ruchy gwałtowne? Jak zdradza krew młodzieńcza, tą żywością?

ZULIMA. Czy wasza panna, pozwoli złożyć sobie uszanowanie?

MARJA. Dla czego nie? Nic nie sprobujesz?

ZULIMA. Czy mogę widzieć ją?

MARJA. Chciałabym służyć ci młody rycerzu, jesteś grzeczny i przyjemny, lecz to czego wymagasz, moja pani jest panną i bez obrazy przyzwoitości.

ZULIMA. Niewolnico — Przywołaj ją— idź precz.

MARJA. Ja niewolnica? Wyglądamże tak, jak gdybym przybyła z Maroku lub Algerji? Jestem wolna szlachcianka i chrześcianka z rodu.

ZULIMA. Któżby wątpił?

MARJA. Jam niewolnica? Kiedy św. Jakób przybył aby nawracać pogan, już Gomezowie byli tak chrześcianinami jak nim był król izraelski Dawid.

ZULIMA. Lecz...

MARJA. I dzięki niebu, nigdy nie było w rodzie ich, ni maura, ni poganina, nie było heretyka, ani manichejczyka, ani waldeńczyka, ani albigensa. Żaden niepotrzebował przywdziewać włosiennicy, za błędy kacerskie. Nazwał mnie niewolnicą!

ZULIMA. Przebacz mi, żyłem w kraju, w którym istnieją niewolnicy.

MARJA. Wracasz z Palestyny? Miałam właśnie to powiedzieć. Odgadłam to zaraz z twéj twarzy, masz ją, jak wszyscy przybywający ztamtąd. Czemu zamilczałeś o tem? Zawsze przystoi słuchanie opowiadań o walkach z tym ludem pogańskim, i pofolgować wolno rygorowi z jakim zachowywane bywają przepisy, względy przyzwoitości niewieściéj, a to przez wzgląd na tego, który cierpiał w owéj krainie, którą podobało się Zbawicielowi obrać za kolebkę swą i grób (do wychodzącéj służącéj) Poproś pannę Izabellę co prędzéj. Ujrzysz serafina z oblicza i przymiotów.

(d. c. n.)

Pogadanka Tygodniowa.

O wystawie tegorocznéj w Paryżu, u nas samych przynajmniéj kilka już tomów napisano. Sam katalog stanowi książkę kilkofuntowéj wagi, dla któréj w powietrznym locie wcale nie pragnąłbym stanowić zawady. Podzielę się więc z Wami tylko ogólnem wrażeniem, tem co zatrzymałem w pamięci, co się da opisać bez modelu lub objaśniającego rysunku, bo w szczegóły wdawać się niepodobna.

Plac marsowy cichy i pusty przed rokiem, dziś stał się miastem gwarnem, ruchliwem i ludnem. Zdaleka wyskakują z niego dwie latarnie morskie, gazowa i elektryczna, zupełnie w naturalnéj postawie, które w dzień latarniami, a w nocy płonącem światłem, górując po nad Paryżem, zdają się strażować miejscu, popisu całéj ludzkości. Po obu stronach szerokiéj drogi stanowiącéj główne wejście, zatknięte są na wysokich żerdziach trójbarwne narodowe flagi, z cesarskiemi orłami, na podmuch wiatru odpowiadające lekkim szelestem swych fałdów, lub w ciszy i w milczeniu przyglądające się tłumom obok nich idącym. Sam zaś gmach wystawy, to owal najwyborniéj nakreślony, w środku posiadający ogród tak wytwornie urządzony, z kwiatami drzewami, sadzawkami, ścieżkami i statuami marmurowemi, że prawie zdaje się niepodobieństwem, aby przed rokiem dopiero wyrósł z ziemi, na rozkaz czarodziejskiéj pracy. Do niego to schodzą się wszystkie promienie dzielące gmach wystawy na wycinki, szerokie u wejścia a stopniowo aż ku środkowi zwężające się. Wycinki te oddano do rozporządzenia każdemu narodowi i w takiéj liczbie, jakiéj wymagała ilość dostarczonych przedmiotów. Francja najwięcéj ich zajmuje, bo z wązkiemi pasemkami dla Niderlandów Luksemburga i Belgji przeznaczonemi, zupełną połowę całego gmachu. W drugiéj połowie mieści się reszta państw całéj kuli ziemskiéj, pomiędzy któremi co do przestrzeni pierwsze miejsce trzyma Anglja po niéj dopiero idą Prussy z północnemi Niemcami, a następnie Austrja.

Oprócz podziału na długość, gmach wystawy podzielony został galerjami w okrąg idącemi z oznaczeniem przedmiotów jakie w nich mają się mieścić. Według tego porządku urządzoną jest wystawa każdego państwa, kto więc chce obejrzeć wyroby jednego z nich, idzie długością gmachu aż ku środkowemu ogrodowi. Kto zaś chce poznać jedną gałęź przemysłu całego świata, np. machiny fabryczne, sztuki piękne lub wyroby z jedwabiu albo wełny, idzie w okrąg galerjami, a wtenczas przechodzi koleją, Francją, Anglją, Stany Zjednoczone Ameryki i. t. d. Jest to urządzenie niezmiernie wygodne, ułatwiające bardzo porównanie o ile które państwo góruje nad drugiem.

W pierwszéj zaraz galerji od wejścia, mieszczą się machiny, a w ostatniéj okalającéj środkowy ogród sztuki piękne. Umieszczono je widać umyślnie tak daleko od siebie, aby trajkot kół obracających się, warkot trybów, szum pary i wody, nie przeszkadzał ciszy zachwytu tak potrzebnéj przy rozważaniu dzieł artyzmu. Różnica jednak znaczna przestrzeni jakie zajmują, jasno świadczy o potrzebach całéj społeczności ludzkiéj, domagającéj się więcéj tego co służy jéj materjalnemu jak duchowemu rozwojowi Machin zatem co przędą, szyją, kują, mielą, ciągną wodę, robią kapelusze, buty, różne tkaniny najwięcéj; mniej troszkę jedwabi, sukien, mebli, złota, sreber i brylantów, a najmniéj dzieł dłuta i pędzla.

Wszelkie ulepszenia i nowe pomysły w machinach dążące do zmniejszenia ceny wyrabianych przez nie przedmiotów, opisały już obszernie Gazety i Tygodniki nasze, skrzętnie zajmujące się cudami przemysłu. Zdumiewający to oddział, a są tam i armaty z pociskami tak strasznemi, że człowiek mimowoli zapytuje sam siebie, na jakiego zwierza pomyślane i wyrobione zostały, nie przypuszczając nawet, aby wymierzone były przeciw tak wątłéj jak sam jest istocie. Obok nich znajdują się blaty żelazne, stanowiące pancerze okrętów, ćwierć łokciowéj grubości, przy próbach strzału pociskami temi potrzaskane w drzazgi, z powybijanemi dziurami, pogięte, powytłaczane, jakby utworzone były z ciasta, a nie z tak twardego jak żelazo materjału. Cóż to za straszna siła uderzenia!

Pomiędzy wielu wynalazkami wielkiego znaczenia dwa, powszechną na siebie wzróciły uwagę; przenoszenie fotografji na plansze sztychowe i galwanoplastyka. Wedle wyroku przysięgłych sztychowanie odbić fotograficznych, stanowczo rozwiązane zostało. Okazy licznie wystawiono a p. Garnier Francuz otrzymał wielką nagrodę przeznaczoną dla fotografów: w przyszłości więc będzie można tyle odbijać fotografji ile kto zechce z nadaniem im takiéj saméj trwałości jaką sztych na stali posiada. Następstwem tego niezawodnym, obniżenie ceny rycin, zniszczenie fabrycznego przemysłu potwornych rysunków i malowideł, obudzenie lepszego smaku, zamiłowanie prawdziwego piękna i rozwijanie szlachetniejszych myśli, pojęć i wyobrażeń.

Galwanoplastyka jest to sztuka nowa, wysnuta

z nauki, a poświęcona reprodukowaniu z miedzi wszelkich przedmiotów przy pomocy elektryczności i rozczynu siarczanu miedzi. Jak fotografja zdejmuje wiernie przedmiot poddany jéj działaniu, tak galwanoplastyka przysługę tę oddaje rzeźbiarstwu. Dotąd w celu otrzymania posągu bronzowego lub cynkowego, ze statui glinianéj, stanowiącéj oryginał wykonany przez rzeźbiarza, robiono odcisk gipsowy, z niego wygniatano formę w piasku, a w nią dopiero wlewano metal roztopiony. Czynność to niezmiernie zmudna, nie zawsze udająca się, a często wydająca kopje bardzo słabe, mało podobne do oryginału i wymagające wiele poprawek. Nad to odciski gipsowe są kruche i nie zawsze dostateczne dla nauki, galwanoplastyka wyroby swoje daje tanio i wierne modelom przez genjusz utworzonym. Czynność jéj jest niezmiernie prostą.

Z modelu gipsowego zdejmuje się odcisk gutaperkowy i stosownie potem przyrządzony, zanurza w siarczanie miedzi, przez który przechodzi prąd elektryczny. Jak tylko utworzy się osad miedzi dostatecznéj grubości, wyjmuje się odcisk i reprodukcja przedmiotu jest zupełnie gotowa. Tym sposobem wszelkie arcydzieła sztuki rzeźbiarskiéj mogą być uprzystępniane dla wszystkich i zamiast wyrobów często lichych i niezdarnych, zyskamy wierne kopje prac dłutowych znanych dotąd tylko niektórym. Najpiękniejszy okaz galwanoplastyczny, stanowi reprodukcja płaskorzeźb kolumny Trojana w Rzymie, o kilka metrów wyższéj od bronzowéj kolumny stojącéj na placu Vendôme w Paryżu. Płaskorzeźby te ledwo dojrzane okiem, przy pomocy tego wynalazku, mogą być przez każdego oglądane z bliska z największą swobodą. Zdjęte niegdyś w gipsowych odciskach i umieszczone w szkole sztuk pięknych, w prędce zbrukały się i pokruszyły, tak że żadnego dla uczniów nie przynosiły pożytku. Z rozkazu Cesarza Napoleona I, kopje nowe porobiono sposobem galwanoplastycznym i pomieszczono je w Luwrze. Ale nie na tem tylko ograniczają się korzyści z galwanoplastyki.

Znana jest wszystkim przyjemność w użyciu srebrnych łyżek, widelcy, i noży a zarazem i wpływ ich na zdrowie ludzkie. Dotąd tylko zamożniejsi sprzęty te codziennego użytku mogli posiadać, biedniejsi używali łyżek cynowych, a najwięcéj blaszanych. Dziś na zachodzie zastawa srebrna stołowa jest na każdym stole, bo łyżki robione dotąd *massif*, obecnie wyrabiają zmięszaniny kruszców tanich i powlekają srebrem, sposobem galwanoplastycznym. Zniszczone, za małe pieniądze znowu mogą być odnowione. Nie ma wątpliwości, że i w tym razie, podniesienie ogólnego zamiłowania piękna i porządku wiele zyska.

Złocenie dokonywane dotąd za pomocą merkurjuszu, zabijało biednych robotników, galwanoplastyka usunęła zupełnie to niebezpieczeństwo. Jest zaś rzeczą niezmiernie pożyteczną, bo złocenie broniąc przystępu powietrza do przedmiotu, ochrania go od niszczenia. W muzeach narzędzia żelazne rdza strawiła, wyroby z ołowiu wyglądają jak zwęglone, a miedziane w proch się rozsypały, jedne tylko przedmioty złote ocalały, i nietracąc nic z cechy i ozdób zewnętrznych w trwałości sam granit przewyższyły. W stolicach państw zachodnich, gdzie spojrzeć wszędzie złoto wpada w oczy. Szyldy, napisy, ozdoby żelazne na gankach, drzwiach i oknach guziki, sprzączki, klamki, poręcze, słowem w domach i na ulicy wszystko złocone, połyskuje bogactwem, zbytkiem, a jednak w gruncie rzeczy jest tylko wyrachowaną oszczędnością; jako środek zachowawczy. Na wystawie powszechnéj znajduje się mnóstwo, przedmiotów posrebrzanych i pozłacanych, a ponieważ dopełniane jest przy pomocy stosu Volty, otrzymało więc nazwę srebra i złota woltaicznego.

KILKA USTĘPÓW

z Teofila Gautiér.

Ostatni listek.

Nagi smutny las czernieje,
I ostatni już w téj chwili,
Na gałązce liść się chwieje,
I ostatni ptaszek kwili.

I ostatnia pieśń méj duszy,
Pieśń miłości — z cicha dzwoni,
Lecz ją wiatr jesienny głuszy,
Co z dzikiemi świsty goni!

Ptaszek pierzchł ku innéj stronie,
I uwiędły listek spada,
I uczucie gaśnie w łonie,
I nadchodzi zima blada.

Na mogiłę, co mnie czeka,
Powróć ptaszku z darem pieni,
Gdy wiosenka niedaleka,
Znowu drzewa zazieleni.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek arkuszowy z drzeworytami.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. Redaktor J. K. Gregorowicz.

PAN DE CAMORS

POWIEŚĆ,

PRZEZ

OKTAWIUSZA FEUILLET

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiéj.

(Dalszy ciąg)

Pewnego poranku jakiś niepojęty, złowrogi zgiełk powstał na dziedzińcu pałacowym; hr. de Tècle wybiegł co prędzéj i ujrzał w objęciach robotników, swego syna zemdlonego i krwią zbroczonego. Spadł na bruk z najwyższego rusztowania, i przez dwa miesiące, biedny młodzieniec był między życiem a śmiercią. Trawiony gorączką, w malignie, nie przestawał nieustannie przyzywać swéj kuzynki i narzeczonéj, i młoda dziewica zasiadła u jego wezgłowia. Uspokoił się, powoli zaczął przychodzić do siebie, ale na całe już życie został strasznie zeszpecony i kulawy.

Kiedy po kilku miesiącach, zaczął podnosić się z łóżka i pozwolono mu nareszcie przejrzeć się w zwierciadle, tak silnego doznał wrażenia, iż padł zemdlony na ziemię, i przez kilka godzin dotrzeźwić się go nie było można. Szczęściem był to człowiek wielkiego serca i gorącéj wiary; przyszedłszy więc nareszcie do przytomności, załamał ręce, strumienie łez potoczyły mu się z oczu, ale nie zdołały zmazać z niéj strasznych blizn jakiemi twarz jego była zeszpeconą; potem długo, długo się modlił i nareszcie odbył wielką naradę z ojcem, w skutku czego oba wzięli się do pisania: ojciec do p. Des Rameures, syn do panny de Tècle. Silne wzruszenia i trudy jakie poniosła dnie i noce doglądając narzeczonego, szkodliwie oddziałały na zdrowie Elizy, idąc więc za radą doktorów, p. Des Rameures zawiózł ją do wód Emskich, i tam właśnie odebrała list narzeczonego, wracający jéj wolność i zwalniający z danego słowa. Roland wraz z ojcem prosili ją tylko, aby opóźniła nieco swój powrót, ponieważ postanowili za kilka tygodni opuścić okolicę, w któréj dziś już mieszkać nie mają siły i osiąść stale w Paryżu. Nadto obaj nadmienili jeszcze aby im nawet nie odpowiadać, ponieważ postanowienie to, które im zarówno sumienie i prosta delikatność nakazuje, było nieodwołalne.

Stało się jak żądali — żadna odpowiedź nie nadeszła. Spełniwszy piękne swe poświęcenie, Roland zdawał się spokojny i z poddaniem przyjmujący smutną przyszłość swoją, tylko siły jego widocznie gasły i wycieńczenie to tak nagłe czyniło postępy, iż wszystko kazało przeczuwać prędki koniec, którego zresztą zdaje się pragnął gorąco.

Pewnego wieczora wyprowadzono go do ogrodu, tam pod cieniem prastarych lip usiadł na tarasie w fotelu i wzrok nieruchomy wlepił w purpurowe odblaski zachodzącego słońca. Ojciec wielkim krokiem chodził po tarasie, uśmiechając się do syna gdy się do niego zbliżał, a mijając gorzkie łzy ocierał. Wtedy to nad wszelkie spodziewanie, ukazała im się Eliza de Tècle, jakby anioł pocieszyciel, zstępujący z niebiosów po ostatnim słońca promieniu, i uklękła przed biednym chorym, ściskała, całowała jego ręce i jakby obejmując promieniem swych ślicznych czarnych oczu, powiedziała mu z niezrównaną siłą uczucia, że go nigdy nie kochała więcéj jak dziś właśnie, patrząc na jego cierpienia. Czuł że mówiła prawdę i przyjął jéj poświęcenie; ślub odbył się niezadługo.

Pani de Tècle była szczęśliwa — ale mimo tkliwéj miłości jaką go otoczyła, mimo prawdziwego szczęścia jakie mógł czytać w jéj głębokiem, spokojnem wejrzeniu, pomimo urodzenia córki, biedny mąż jéj był niepocieszony. Obejście jego z żoną było zimne i jakby nacechowane niewysłowionym przymusem. Widać było że skryta jakaś boleść zatruwała wszystkie jego chwile, ale dopiero w godzinę śmierci wyjawił swoją tajemnicę: Ubóstwiany aniele, rzekł do młodéj żony, bądź błogosławioną za wszystko dobro jakie ci winienem... przebacz jeśli nie umiałem okazać jak bardzo cię kochałem; mówić ci zaś o miłości z moją powierzchownością, było niepodobnem, chociaż serce moje nią było przepełnione.... o! wiele, wiele przecierpiałem z tego powodu, szczególniéj przypominając sobie jakim byłem dawniéj, i jakbym mógł być godnym ciebie. Ale zobaczemy się w niebie, ulubiona moja.... wtedy duch mój dorówna pięknością twojemu.... wtedy będę mógł powtarzać nieustannie, kocham cię, kocham!. Teraz żegnaj mi, ziemski mój aniele!.. nie płacz, błagam cię.... wierzaj mi jam szczęśliwy, bardzo, bardzo szczęśliwy! Dziś przecie mogłem otworzyć ci serce, bo umierający nie lęka się śmieszności. Bywaj mi zdrowa, Elizo moja!.. ja cię kocham!...

I z tem ostatniem słowem, dusza jego do lepszego przeniosła się świata.

Po śmierci męża, pani de Tècle pozostała w domu ojca jego, ale codziennie kilka godzin przebywała u wuja, i obok najtroskliwszego zajęcia się wychowaniem jedynéj córki, zarządzała gospodarstwem obu starców, których była szczególną ulubienicą.

Wszystkich tych szczegółów dowiedział się p. de Camors od proboszcza, którego odwiedził nazajutrz; i zastał go z wiolonczelą w ręku. Pomimo postanowienia, aby pogardzać wszystkimi i wszystkiem, młody hrabia nie mógł nie uczuć jakiegoś szacunku dla p. de Tècle, jednak postanowił, jeśli już nie zawrócić jéj głowę, to przynajmniéj podobać się koniecznie i tym sposobem pozyskać sobie jéj poparcie. Znał doskonale że to nie łatwe było przedsięwzięcie, ale był odważnym i nie lękał się niczego, zwłaszcza trudności pod tak ponętną przedstawiających się postacią.

Pierwszy tydzień pobytu na wsi minął mu szybko wśród tych miłych myśli, na doglądaniu robotników i naradzaniu się z budowniczym, a gdy jeszcze spro-

wadził z Paryża swoje konie, książki, dzienniki, i służbę, miał czem się zająć i zapomniał o nudach. Stosownie do zaproszenia, w poniedziałek udał się do p. Des Rameures, i gdy zajechawszy wysiadał z swego tilbury, miał szczęście zastać przed domem panią de Tècle, która białą, śliczną rączką raczyła pogłaskać karego jego Fitz-Aymona. Tu po raz pierwszy poznał pana de Tècle, był to starzec poważny, smutny i milczący. Grono znajdujących się osób składali: proboszcz, podprefekt z żoną, doktor domowy, poborca okręgowy i nauczyciel wiejski.

Podczas obiadu, p. de Camors, jakby podbudzony bliskiem sąsiedztwem p. de Tècle, starał się pokonać swą ukrytą niechęć, jaką zazwyczaj budzi obecność obcego w dobrze zażyłem kółku. Spokojnie, zwolna, zajął wszystkich przyjemną i rozumną rozmową i to z takim wdziękiem i tak niby bezwiednie, że każdemu musiała się podobać. Nie wpadając w wesołość niezgodną z żałobą, umiał jednak tak żywemi barwami odmalować pierwsze swoje gospodarskie kłopoty w Reuilly i tu i owdzie tak żywym trysnąć dowcipem, że niejednokrotnie rozjaśnił nawet poważne czoło swéj sąsiadki i szczery uśmiech wywołał na jéj usta. Rozmawiał jak nauprzejmiéj z każdą z zaproszonych osób, wypytywał i słuchał z zajęciem wszystkiego co ją obchodzić mogło, odgadywał myśli i upodobania; jednem słowem, po kilku godzinach wszystkich *oswoił* z sobą zupełnie. Pan Des Rameures nastręczył kilkakrotnie sposobność do trafnie bardzo zastosowanych cytacji; niby od niechcenia mówił z nim o łąkach sztucznych i naturalnych; o krowach dojnych i niedojnych, o owcach wysoko poprawnych, o rassach koni, i wielu podobnych rzeczach które tego właśnie poranku wyczytał w dziełku: *Dom wiejski w XIX wieku*. Wprost do pani de Tècle mówił niby mało, ale podczas objadu, nie wyrzekł ani jednego słówka, w którem by się coś do niéj nie zwracało. Nadto, w całem jego z nią obejściu, był jakiś niewypowiedziany urok, nawet nalewając jéj szklankę wody zdawał się mówić, iż gotówby dla niéj życie poświęcić.

Trudy p. de Camors nie były daremne — wprost przeciwnie temu czem był w istocie, przy końcu objadu wszyscy obecni uważali go za dobrego, szczerego i otwartego młodzieńca. Kiedy po objedzie podano czarną kawę, p. Des Rameures, którego wrodzoną serdeczność podbudziły jeszcze kilka kieliszków starego wina, rzekł mu: Mój kochany panie, dobrze jesz, dobrze pijesz, mówisz jeszcze lepiéj, oznajmiam ci więc że gotów jestem uznać cię za doskonałego sąsiada i wybornego towarzysza, jeśli do tych wszystkich przymiotów łączysz jeden jeszcze. Powiedz proszę, czy lubisz muzykę.

— Namiętnie odpowiedział.

— Namiętnie!.. wybornie! doskonale! tak właśnie lubić i kochać wszystko należy. Serdecznie mnie to cieszy, bo trzeba ci wiedzieć że tworzemy tu gromadkę zapalonych melomanów, jak się niedługo o tem przekonasz. Ja pierwszy bardzo lubię grać na skrzypcach.... tak sobie, jak amator wiejski. *Orpheus in silvis*. No, ale nie wyobrażaj pan sobie znowu, że muzyka pochłania wszystkie nasze chwile jeśli, jak się spodziewam, zechcesz pan częściéj odwiedzać nasze kółko, przekonasz się że nie zaniedbujemy niczego co godne zajmować uwagę ludzi myślących. Od muzyki przechodziemy do literatury, nauk, umiejętności, a czasami nawet i do filozofji, tylko unikamy pedanterji, i mówimy o wszystkiem swobodnie i wesoło. Czasami czytujemy wiersze, ale za to nie układamy ich nigdy. Lubimy dawne czasy, ale oddajemy słuszność obecnemu. Lubimy starożytnych pisarzy, ale nie wyrzekamy się tegoczesnych.... unikamy i lękamy się wszystkiego co ściešnia umysł, poniża serca, i znowu zapalamy się szalenie do wszystkiego co nam się zdaje wzniosłe, piękne, użyteczne i prawdziwe. W tych kilku słowach dokładnie nas panu odmalowałem — dodam jeszcze że często sami nazywamy się entuzjastami, a miejscowi dowcipnisie przezywają nas *pałacem de Rambouillet*. Wiadomo panu zapewne, że zawiść to chwast rzadko kiedy wyrastający na prowincji; jednak, przez szczególny wyjątek, kilka jego gałęzi pojawia się w naszéj okolicy, sądzę że sobie samym najwięcéj robią złego. Tak więc kochany panie, wszyscy wnosim w nasze kółko różnorodny zapas wiadomości i rozmyślań, rozmawiamy o nich, spieramy się nawet czasem, ale nie gniewamy się nigdy. Sama nawet polityka, ta matka niezgody, nie zdołała nigdy w pośród nas jéj zasiać co tem dziwniejszem wyda się panu, gdy poznasz że grono nasze składa się z przedstawicieli najsprzeczniejszych opinji. I tak, ja jestem legitymistą; Durocher, mój doktór i stary przyjaciel, jest szczerym republikaninem; kontroller Hèdonin jest parlamentarzysta; pan podprefekt, zgodnie z swoim obowiązkiem jest całkiem oddany rządowi, proboszcz jest może trochę ultra-montanin, ja znowu, pod tym względem obstaję za swobodami kościoła gallikańskiego *et sic de caeteris*! A jednak mimo tych sprzeczności, w najlepszéj żyjemy zgodzie, a to z powodu że w gruncie rzeczy wszelkie opinje zawierają w sobie jakąś cząstkę prawdy, i że z małemi wzajemnemi ustępstwami, wszyscy uczciwi ludzie mogliby się zgodzić na jedno. Tak więc, widzisz pan, złoty wiek panuje w moim, czyli raczéj w mojéj siostrzenicy salonie, bo jeśli chcesz poznać domowe bóstwo opiekujące się i kierujące tu wszystkimi, spojrz na nią.... aby jéj się podobać aby zadowolnić jéj dobry smak, zdrowy rozsądek i wyborny takt we wszystkiem, każdy z nas wyrzeka się przesady, zaciekłości i pychy, psujących najlepsze sprawy. Jednem słowem mówiąc prawdę miłość jest wspólnym naszym węzłem i wspólną cnotą, ponieważ wszyscy jesteśmy zakochani w mojéj Elizie.... a ja najpierwszy. Potem następuje Durocher, kochający się w niéj od lat blisko trzydziestu.... daléj pan pod-prefekt i tak wszyscy z kolei.... nie wyłączając nawet poczciwego proboszcza. No, no! darmo, mój księżulku, nie zapieraj się... co prawda to prawda.... wszyscyśmy w niéj zakochani, ma się rozumieć zacnie i uczciwie, i jestem niemal pewny, iż niezadługo tenże sam los spotka p. de Camors. No powiedz pan prawdę...

P. de Camors odpowiedział ze skromną minką młodego tygrysa, że czuje się bardzo usposobionym do sprawdzenia przepowiedni p. Des Rameures, poczem wrócono do salonu. Tu zastali kilka nowoprzybyłych osób, już to z poblizkiego miasteczka już to z okolic; p. Des Rameures wziął się zaraz do

skrzypców. Podczas gdy je nastrajał. Marja de Tècle zasiadła do fortepianu, a matka stanęła za nią, i znów jak owego wieczora, oparła rękę na jéj ramieniu.

— Panie de Camors, rzekł gospodarz, nie usłyszysz dziś nic nowego; mamy wykonać serenadę Schubert'a, tylko trochę po naszemu ułożoną czy tam przekręconą, ciekawym jak ci się wyda. Siostrzenica moja śpiewa, a my odpowiadamy jéj z kolei. *Arcades ambo!*... proboszcz na wiolonczelli, ja na skrzypcach. No, proboszczu, zaczynajmy! *Incipe, Mopse, prior*!

Chociaż stary szlachcic grał doskonale, a proboszcz bardzo umiejętnie i z wybornem pojęciem ducha wykonywanéj muzyki, jednak śpiew pani de Tècle największe na panu de Camors zrobił wrażenie. Niezachwiany spokój jéj pięknéj twarzy, godność i powaga rozlana w całéj osobie, zajmującą tworzyły sprzeczność z namiętnym wyrazem głosu. W ciągu wieczora, p. de Camors niby od niechcenia zasiadł do fortepianu, odegrał doskonale jakiś piękny i trudny utwór, i w końcu zaśpiewał coś miłym bardzo i dobrze wyrobionym tenorem, a całe postępowanie jego wydawało się tak naturalnem, tak pełnem wrodzonego wdzięku że umiał podobać się wszystkim.

W dalszym ciągu wieczoru trzymał się już na uboczu, uważając, rozumując i dziwiąc się zarazem. Jakoż rzeczywiście towarzystwo jakie miał przed oczyma, nie mały do podziwu przedstawiało wątek. Nie dostrzegłeś tu ani gadatliwéj pospolitości, ani wymuszonéj przesady. Nic coby przypominało izbę odźwiernego, co tak często widzieć można w salonach prowincjonalnych, nic coby trąciło sceną jakiegoś małomiejskiego teatrzyku, jak to niejednokrotnie spotkać się daje nawet w salonach paryzkich. Nic nareszcie coby zakrawało na jakieś posiedzenie akademickie, czego prawdę mówiąc, Camors lękał się trochę. Jakkolwiek często rozmowa ożywiała się bardzo i przybierała nastrój bardzo wesoły i swobodny, nigdy jednak nie wpadała w trywialność, lecz trzymając się zawsze w zakresie najwznioślejszych kwestji, nauk, sztuk i polityki. Z kobiet znajdujących się w tem towarzystwie, kilka było młodych i ładnych, wszystkie odznaczały się ukształceniem i wyższością obejścia, wszystkie umiały myśleć i zastanawiać się, a mimo to uśmiechać się swobodnie i podobać wszystkim. Przyjęty w to przyjacielskie kółko, uczuwałeś się od razu w jakiejś wyższéj strefie, w któréj jedna, wybrana istota, jakiś wszechwładny, nieprzeparty roztaczała urok. Pani de Tècle siedziała w fotelu, trzymając w ręku krzyżową robótkę, na pozór zdawała się niby obojętna, a jednak wszystko jednem ożywiała wejrzeniem, jednem miarkowała słówkiem. Spojrzenie to było zachwycające słówko zawsze trafne i sprawiedliwe; to też wyrok jaki wydawała był dla wszystkich wyrokiem sprawiedliwego sędziego, i zarazem ukochanéj kobiety.

Przed końcem wieczora zaczął ktoś mówić o małżeństwie jenerała de Campralion, o którem już wieść biegała na mil 20 w około. Pan de Camors słuchał bacznie wszystkiego, a szczególniéj gdy pan pod-prefekt rzekł niby nawiasem, dając to tylko za proste przypuszczenie, iż bardzo być może, że obecnie, mając nowe obowiązki, jenerał zechce złożyć swój mandat deputowanego.

— A niechże Bóg broni! zawołał p. Des Rameures i któżby go zastąpił?.. O! uprzedzam cię wyraźnie, kochany pod-prefekcie, iż jeśli chciałbyś narzucić nam jakiego paryzkiego dowcipnisia, wystrojonego jak lalka, z kwiatkiem zatkniętym w dziurce do guzika, wyślę go gdzie pieprz rośnie razem z jego elegancją, strojem i kwiatkiem. Możesz być o tem najzupełniéj przekonany, kochany panie.

— Wuju! rzekła pół głosem, pani de Tècle, wskazując wzrokiem pana de Camors.

— Rozumiem cię, Elizo, odparł śmiejąc się pan Des Rameures; ale ponieważ p. de Camors nie może w żaden sposób przypuścić abym go chciał obrazić, zatem proszę go najusilniéj, aby wybaczył staremu jego dziwactwo, i pozwolił mi mówić swobodnie w jedynym przedmiocie w którym nie umiem panować nad sobą.

— Jakiż to przedmiot, panie Des Rameures? rzekł Camors z spokojnym, ujmującym uśmiechem.

— Nieznośna, zuchwała przewaga Paryża nad całą Francją! Panie hrabio, od 1825 r. noga moja nie postała w Paryżu, aby mu dowieść nieopisanego wstrętu jaki we mnie budzi. Jesteś pan człowiekiem rozumnym i ukształconym i jestem przekonany, dobrym Francuzem... powiedzże proszę, czy może ci się to wydawać dobrem i sprawiedliwem, żeby Paryż narzucał nam codzień swoje gotowe już pojęcia, swoje gotowe już dowcipy, swoich wygotowanych już deputowanych i swoje całkiem przygotowane rewolucje... jednem słowem żeby cała Francja była tylko nędznem, służalczem przedmieściem Paryża?.. Proszę bardzo, chciéj pan łaskawie odpowiedzieć mi na to!...

— No, nie przeczę... jest może nieco przesady w téj zbytecznéj centralizacji Francji, ależ przecie każden kraj ucywilizowany ma swoją stolicę, bo tak narody jak jednostki potrzebują głowy.

— Chwytam pana za słowo, i zwracam je zaraz przeciwko tobie. Tak niezawodnie, narody i jednostki potrzebują głowy, lecz jeśli głowa ta jest niekształtna i potwornie wielka, wtedy oznaka inteligencji staje się oznaką idiotyzmu, a zamiast człowieka genialnego widzimy człowieka mającego wodę w głowie!.. Teraz jeszcze proszę uważaj pan bacznie na to co odpowie pan pod-prefekt. Proszę cię, bądź szczerym, kochany podprefekcie. Gdyby tak jutro zawakowała deputacja tego okręgu, powiedz czy w całym okręgu a nawet i całym departamencie, znalazłbyś jednego człowieka, który mógłby pełnić obowiązki deputowanego?

— Doprawdy, rzekł podprefekt, nie znam nikogo takiego — i jeśli pan trwasz w postanowieniu nie przyjęcia mandatu.

— Trwam, trwam! i do śmierci trwać będę. Ja! miałbym dziś, w moim wieku narażać się na drwinki i przekąsy waszych paryzkich fircyków!..

— Słyszałeś pan, hrabio de Camors, mówił daléj unosząc się p. Des Rameures. Departament ten liczy 600,000 ludności i cała ta ludność nie zdolna wytworzyć jednego deputowanego... O! jestem przekonany, że żaden na świecie kraj ucywilizowany nie przedstawia podobnie gorszącego przykładu! Nam

hańba ta dostała się w podziale, a Paryż jest jéj sprawcą!. On to pochłania wyłącznie wszystką krew i życie, całą myśl, całą dzielność kraju i w miejsce narodu tworzy z nas, jakiś szkielet geograficzny! Oto masz pan dobrodziejstwa téj waszéj centralizacji — skoro już wymieniłeś pan tę nazwę, równie barbarzyńską jak i rzecz sama!

— Daruj mi, wuju, przerwała pani de Tècle, spokojnie wyciągając włóczkę, nie znam ja się wprawdzie na tem — ale mówiłeś zawsze że ta nienawistna ci centralizacja, była wytworem rewolucji i pierwszego konsula; więc jeśli tak jest, dla czegóż zdajesz się gniewać o to na pana de Camors? Zdaje mi się że to bardzo niesłusznie.

— I mnie to samo, rzekł Camors, kłaniając się pani de Tècle.

— I mnie także, panie de Camors, rzekł śmiejąc się De Rameures.

— Muszę jednak wyznać, rzekł młody hrabia, że zasłużyłem może na tę przymówkę wuja pani, bo jeśli, jak to słusznie powiedziałaś, nie jestem sprawcą centralizacji, to przynajmniéj chwalę bardzo tych co ją wytworzyli.

— Doskonale! wybornie, p. de Camors, zawołał starzec, lubię ludzi co mają swoje zdanie i umieją go bronić.

— Za nadto wysoko pana poważam i cenię, abym się wachał objawić przeciwne mu zdanie. Otóż mniemam że zgromadzenia, a następnie pierwszy konsul, dobrze uczynili narzucając Francji silną centralizację administracyjną i polityczną, bo według mnie była ona niezbędną, aby skupić i ukształtować nasze ciało społeczne według jego nowéj formy, aby go dopasować do nowych ram i ustalić w nowych prawach, jednem słowem, aby stworzyć i ukształtować tę potężną jedność francuzką, która jest naszą narodową oryginalnością, naszym geniuszem i siłą.

— Dobrze pan mówi! zawołał doktór.

— Nie przeczę, odparł żywo Des Rameures. Tak hrabio, przyznaję wreszcie, iż był czas, że owa zbyteczna centralizacja na którą się dziś uskarżam, miała swoją dobrą i pożyteczną stronę, ale jakaż instytucja ludzka może być bezwzględną i wieczną? Toć przecie był czas że i feudalność była w danéj chwili dobrodziejstwem i postępem... alež ileż to razy się zdarza że co było dobrem wczoraj, jutro może stać się rutyną i zawadą! Czyliż nie dowodzą nam tego dzieje świata? A jeśli chcesz pan wiedzieć po czem można poznać że system jaki społeczny i polityczny już się przeżył, posłuchaj co powiem: oto kiedy objawia się już tylko przez same niedogodności i nadużycia! Wtedy najniezawodniéj maszyna już się zużyła i koniecznie zmienić ją potrzeba. Ja twierdzę że centralizacja francuzka doszła właśnie do tego fatalnego kresu... dziś już nie broni i osłania, ale gubi i uciska, dawniéj ożywiała dziś paraliżuje, dawniéj zbawiła, dziś zabija Francję.

Starzec zamilkł wyrzekłszy ostatnie słowa z nadzwyczajnym ogniem, wzruszeniem i godnością, a poważne milczenie w jakiem go słuchano nie zostało przerwanem. Zakłopotał się tem trochę, i po chwili biorąc pod rękę p. de Camors, rzekł wesoło.

— Mój kochany panie, każdy ma jakąś manję... aby dowieść że moja cię nieobraziła, zagraj mi ową śliczną piosenkę z XVI wieku.

Camors zasiadł do fortepianu i z wrodzoną sobie uprzejmością zagrał żądaną śpiewkę, pan Des Rameures towarzyszył mu na skrzypcach, poczem towarzystwo zaczęło się rozchodzić. Przed odejściem Camors znalazł sposobność zbliżenia się do pani de Tècle, i cichym głosem, z bardzo poważną miną, prosił aby raczyła wyznaczyć mu jutro chwilkę, w któréj mógłby pomówić z nią na osobności. Zdziwiona niewypowiedzianie, zrobiła wielkie oczy, zarumieniła się, zawachała trochę, i nareszcie odpowiedziała, że nazajutrz czekać go będzie u siebie o czwartéj.

VI.

W saméj zasadzie, centralizacja czy decentralizacja Francji zarówno obojętną była p. de Camors, ale jako ambitny i Paryżanin instynktownie przekładał centralizację. Mimo to byłby bez najmniejszego skrypułu zgodził się w téj kwestji na zdanie pana Des Rameures, gdyby z właściwym sobie taktem, nie był poznał od razu, że dumny starzec nie należał do rzędu tych ludzi, których giętkością pozyskać można. Postanowił sobie tylko, iż jeśli okoliczności będą po temu, zrobić p. Des Rameures przyjemność stopniowego siebie nawrócenia.

Bądź co bądź, możemy zapewnić, że nazajutrz udając się do pani de Tècle w oznaczonéj przez nią godzinie, młody hrabia nie myślał bynajmniéj rozmawiać z nią o centralizacji lub decentralizacji. Zastał ją w ogrodzie, urządzonym jak cały dom w starym, poważnym, klasztornym niemal stylu. W jednym rogu był piękny, lipami zasadzony taras tam to siedziała pani de Tècle, w cieniu kilku lip, tworzących cienistą altankę; było to jéj ulubione schronienie, bo stawiało jéj przed oczy ów piękny wieczór, gdy nadspodziewane jéj ukazanie, niebiańską powlekło radością, bladą i pokaleczoną twarz biednego jéj narzeczonego.

Siedziała na małym ogrodowym fotelu, przed nią stał stoliczek założony włóczkami i jedwabiami, i zupełnie na pozór spokojna, haftowała jakiś dywanik. P. de Camors który znał doskonale wszelkie zwroty i podstępy taktyki kobiecéj, uśmiechnął się w duchu, bo zrozumiał od razu znaczenie tego posłuchania na otwartem polu. Pani de Tècle chciała odjąć odwiedzinom jego wszelką cechę poufałéj zażyłości, i dla tego nie przyjmowała go w salonie. Nie mylił się bynajmniéj. Młoda, piękna, wdowa od lat dziesięciu, nie mogła uniknąć kilku tuzinów oświadczeń, które w umyśle jéj wytworzyły niezbyt pochlebne o mężczyznach wyobrażenie.

(d. c. n.)